Ner 38. Kraków 15 grudnia 1867. Rok II.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Od Redakcyi.

Z dzisiejszym numerem kończymy rok 1867, kończymy go z tém przekonaniem, że tylko ci, którzy nie czytają naszego pisma, lub którzy osobistą tchną niechęcią, mogą nie uznać naszych usiłowań względem podnoszenia i ulepszania go tak co do treści jak i formy. Podwoiliśmy koszta wydawnictwa — nie podnosząc wcale prenumeraty, bo idzie nam przedewszystkiém o utrzymanie i wpływ pisma, o którego potrzebie jesteśmy przekonani. — Wychowanie narodowe, oświata wszystkich warstw, równowaga społeczna — oto sztandary, pod któremi walczyliśmy i walczyć dalej chcemy. Charakter ten przebija równie w artykułach poważnych jak i w humorystycznych szkicach. Żałować musimy tych, którzy inne podsuwają cele tam, gdzie nami jedynie zamiłowanie prawdy i moralności powoduje. — Osobistości, partykularyzm — to nie nasza rzecz. — Sądzimy też, żeśmy zasłużyli na to uznanie, że pismo nasze nie jest galicyjskie, ale polskie. — Byliśmy wierni temu hasłu we wszystkich rubrykach, wypisanych na czele naszego pisma i staliśmy przy niém spokojni, niewzruszeni. — Naprzeciw uprzedzeniom i niechęci — postawiliśmy uczciwą pracę — naprzeciw obojętności i ociężałości umysłowéj — energią i wytrwałość, a chwasty zwątpienia tępimy żywą narodową wiarą. Na tych kilku słowach przestajemy; wystarczą one dla szlachetnych, światłych i gorliwych — a o innych nie dbamy.

Licząc na poparcie zacnéj publiczności, postaraliśmy się o dobór artykułów, pozyskaliśmy nowych współpracowników i korespondentów. Rozpoczynamy z Nowym-Rokiem: „Pogadanki domowe“, p. *Paulinę Wilkońską*; powieść *Michała Bałuckiego*: „Syrena“; szkic historyczny według najnowszych badań: „Pierwsza królowa chrześciańskiéj Polski“; drugą część „Obrazów i Obrazków z wycieczki tatrzańskiéj“, które czytająca Publiczność z takiém zajęciem przyjęła; dal. ciąg sprawozdań z „Wystawy powszechnéj“. Niebawem zamieścimy studium literackie: Zygmunt Krasiński, „Galerją kobiet“; — „Podróż artysty po Syberyi“; przekład powieści Dickensa, p. t. „Podróżny“; „Pamiętnik dwudziestoletniéj“; „Rozprawy popularne z nauk przyrodniczych“; „Odczyty“; „Korespondencje“ i t. d.

Aby zadosyć uczynić wszelkim wymaganiom karnawałowym, podamy już na 1go stycznia **podwójną tabelę krojów i formy,** — a następnie drugi raz w marcu. — Będziemy również obficiéj podawać wzory haftów białych, rękawków, mankietów, kołnierzyków i t. d. dla domowéj roboty.

W **muzyce** oprócz **nowości,** będziemy podawać **utwory klasyczne** dawniejszych mistrzów.

☛ **Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wraz z zaległościami.** ☚

Zwracamy uwagę na różnicę prenumeraty miejscowéj a zamiejscowéj.

Komplety z ubiegłych 5ciu kwartałów: **nuty, Biblioteka dla kobiet** są do nabycia po zniżonych cenach.

☛ Reklamacye o brakujące numera z ubiegłego roku, będą tylko do końca grudnia uwzględniane.

☛ Przy dzisiejszym nrze. załączamy dla Sz. Prenumerujących nuty: ***Serenadę, Gounod'a.***

Dwory i chaty.

(Dokończenie.)

Zakończenie tych artykułów, niosących gałązkę oliwną pokoju, wypadło nam właśnie, kiedy zbliżają się święta chrześcijańskiego objawienia. Religijne uroczystości połączone są u nas z obrzędami wyłącznie naszemi, ze zwyczajami rodzinnemi i narodowemi. Oto chlebem bożym i dobrém słowém wszyscy u nas nawzajem się obdzielają. Wszyscy! wielkie to słowo — a gdyby było prawdziwe, inaczéjby wyglądało oblicze ziemi naszéj. Czyliż dwory łamią się opłatkiem z chatami? czyliż ludzie sąsiadujący o miedzę, życzą sobie

nawzajem „Dosiego roku?“ A jeżeli kiedy, to w takich uroczystych dniach serce ludzkie skruszone bywa i pragnie słowa miłości. Więc korzystać nam trzeba z takich chwil, użyć sobie i drugim, nawiązać wtedy stosunki, wglądnąć w potrzeby, zdobyć się na serdeczne podanie dłoni, wtedy, kiedy ona równie serdecznie przyjętą będzie.

Wśród pomroku serc, wśród chaosu, w który nas los pogrążył — oby te artykuły nasze były światełkami do odszukania zagubionych szlaków. Poruszyliśmy w nich stosunki, jakie zachodzą między dworami, a chatami. Poruszyliśmy sprawy dobrobytu i oświaty; sadownictwo, pszczelnictwo, szkółki wiejskie, wychowanie dziewcząt wiejskich, położenie społeczne nauczycieli i nauczycielek wiejskich, biblioteki ludowe, czytelnie, karczmy, stosunki sąsiedzkie itd.

Nie wyczerpnęliśmy przedmiotu, lecz chcieliśmy jedynie wskazać pewne potrzeby i głównie zwrócić uwagę na to, ile to pożytecznych rzeczy dokonać może dobra wola i praca pojedynczych ludzi, bez oglądania się na postępowanie innych, ograniczając się na najbliższe otoczenie. Wszelkie obszerniejsze i praktyczne uwagi w tym względzie, chętnie w naszém piśmie znajdą umieszczenie.

Mamy poniekąd prawo oczekiwać, że osoby, które u siebie, w miejscu, w swoim maleńkim światku zajmują się sprawami, które my poruszamy, powodowani miłością dobra kraju, nie pożałują podawać drugim za pomocą dziennika naszego bliższych wyjaśnień, rad i wskazówek. Taki współudział obróci się na korzyść publiczną, a żywotny taki związek dziennika z społeczeństwem, zaświadczy o wartości obydwu, o ładzie i moralném zdrowiu naszém.

Rozwiniemy następnie w szeregu artykułów uwagi nad stosunkami społecznemi, i dźwignieniem pracy narodowéj po miastach. I tutaj odsłonią się nam wielkie nędze, na które trzeba szukać rady i lekarstwa.

Tymczasem kończymy uwagi o dworach i chatach z tą nadzieją i życzeniem, że zostaly przyjęte z taką dobrą wolą, z jaką byly podane.

Wesele jedynaczki.

Jedynaczko, najdroższa ty moja
Słuchaj: takie sprawię ci wesele:
Najprzód gości sproszę bardzo wiele,
Wszak tyś jedna w mym domu dziewoja.

Ze trzech stolic Europy wielkich,
Bo z Paryża — Wiednia i Warszawy,
Nasprowadzam strojów tobie wszelkich —
Co niemiara dla twojéj zabawy.

Co do kuchni — kuchmistrz z nad Sekwany
Zamówiony już wcześnie przybędzie —
A cukiernik w sztuce zawołany,
I pasztetnik niech z Wiednia już będzie.

A co wina — to nie węgrzyn wcale!
Bo cóż węgrzyn dzisiaj tam za dziwy?
Ale szampan! — a szampan prawdziwy
Krążył będzie obficie — wspaniale.

A muzyka — jaką chcesz kochanie?
Jeżlić z Drezna przypada do ucha,
To najchętniéj ojciec cię posłucha,
Jako zechcesz zadosyć się stanie.

Jedynaczka slucha zadumana,
I z łzą w oku wyrzecze nieśmiało:
Jeślim ojcze twoja ukochana,
Przyjm więc prośbę odemnie tę małą:

Zamiast strojów, wina i kucharzy,
Co sprowadzać chcesz na me wesele —
Sprowadź ty mi smutnych i nędzarzy,
Których teraz u nas tak jest wiele.

Niechaj jednych jalmużną uraczę,
I nakarmię, napoję do woli —
Niech z drugimi jak siostra zapłaczę,
I pocieszę ich w tém, co ich boli.

A jeżli im twarze rozweselę,
Z smutnéj duszy uśmiechu dobędę —
To mi powiesz: masz huczne wesele —
A ja ręce twe całować będę.

Ojciec słucha — a gdy przepraszała,
Że się jego śmie opierać woli,
To twarz jego dziwnie odmłodniała,
I łza szczęścia błysła mimowoli.

Podniósł w górę oczy rozrzewniony,
I rzekł zcicha: O dzięki ci Panie!
O mój kraju, jeszcześ nie zgubiony —
Takie córy wróżą zmartwychwstanie!.

Mrowla. *F. K.*

Komedja za kratą.

Bohaterem téj komedyi jest pan Polikarp, liczący lat trzydzieści.... kilka,.... religii katolickiéj, stanu.... chciałem napisać: wolnego, ale ponieważ znający go bliżéj utrzymywali, że wolnośc swego stanu pan Poli-

karp krępował — sznurówką, więc dla uniknienia dwuznaczności napiszę: kawaler; czarną swoją brodę z macierzyńską pielęgnował miłością i wonnemi skrapiał olejkami; zresztą wszystko miał proporcjonalne. Szczegółowy ten rysopis pasportowy umieszczam dla tego, że w epoce niniejszego opowiadania pasporta były w modzie, było to w duchu czasu patrzeć pierwéj na pasport, niż na człowieka. Zapełnię więc pospiesznie resztę rubryk — a mianowicie zatrudnienie i szczególniejsze znamiona. Pana Polikarpa zatrudnieniem było: wyszukanie sobie posażnéj małżonki, a do szczególnych jego znamion należała: ujmująca grzeczność dla dam i zadowolenie z siebie.

Dwie tylko rzeczy przycinały poły tego zadowolenia; raz, że zaczynał już trochę łysieć, a powtóre, że miał nieszczęście urodzić się w kraju, który co ośmnaście lat zwykł się burzyć i niepokoić. Taka właśnie ruchawka zaskoczyła go teraz; wieść o tém strzeliła jak piorun w dom pana Polikarpa, zerwał się przestraszony z miękkich pierzynek domowych wygódek i przeżegnał się nabożnie. Burza polityczna coraz się wzmagała, próżno pan Polikarp bawełną obojętności zatykał uszy, zamknął się szczelnie w czterech ścianach domowego szczęścia, burza coraz natarczywiéj się srożyła, wicher trząsł dachem nad jego głową, kozacy i powstańcy jak błyskawice migali mu wciąż przed oczyma. Co tu począć? Gdzie się schronić? Dla miléj zgody chciał już adres wierno-poddańczy podpisać, (boć przecie patrjotyzm nie polega na kilku błahych pociągach pióra) i podatki carowi zapłacić, ale cóż? A nuż tu podziemny rząd jak Piotrowin z pod nóg mu się ruszy i pogrozi. Ta podziemność rządu była widmem, która go prześladowała, wierzył w nadprzyrodzoną moc jego, czuł go w koło siebie i pod sobą i na sobie, a czucie to objawiało się w dreszczu febrycznym, w ostrożném mówieniu i stąpaniu, jakby się bał nastąpić na nogi temu niewidzialnemu rządowi.

Takie życie zatruło mu szczęście i apetyt; salwując więc resztkę tuszy i unikając dopustu bożego, wyładował pugilares banknotami i czemprędzéj czmychnął przed moskiewską nahajką i pogróżkami rządu podziemnego do jednego z większych miast pruskich czyli udał się na emigracją.

Tam dopiero z dala od rozruchów i niepokojów odetchnął swobodniéj; tylko gazety, te przebrzydłe gazety przypominały mu czasem, że tam o mil kilkadziesiąt palą się strzechy nad głowami konających ziomków, że po lasach świszczą kule, że sybirskie drogi pełne ogolonych skazańców. Czytając o tych „niesłychanych okropnościach“, pan Polikarp wzdychał na ciężkie czasy, w których żył — a dla rozerwania strapionéj duszy szedł biedaczysko to na balet, to na preferansa do pana Hilarego Skiskiego, także emigranta, lub na herbatkę do cioci Balbiny, która także zdala od rodzinnéj wioski, od swoich stodół i propinacyj, tęskniła za rodzinną ziemią i modliła się o prędki spokój. Ponieważ szczupłe dochody nie pozwalały jéj żyć w wyższych towarzystwach, ciocia Balbina została z potrzeby postępową, liberalną, lubo nie bez dystynkcyi. Słabość do książek, tj. do kupowania ich, rozcinania i zapełniania niemi stołu, zrobiła jéj sławę wykształconéj, a wieczory u niéj nazwały się literackiemi, *sicut lucus a non lucendo*. I ot jakoś wlokło się dość przyjemnie to doczesne życie naszych tułaczów. Byli sobie jak w ciepłym pokoju, w którym zamknięto okiennice, zapalono mnóstwo świeczników i rozbawiono się, by nie widzieć łuny na niebie, nie słyszeć jęków burzy, co szaleje za domem.

Tak było aż do owego dnia, w którym chcę zacząć niniejsze opowiadanie.

Był to dzień świętych panien: Balbiny i Kornelii, a więc uroczysty dzień imienin cioci dobrodziejki. Pan Polikarp wstał tego dnia w złotym humorze — suty obiad, wesoła kompanja, preferans — uśmiechały się wdzięcznie do niego; wdział więc frak, przejrzał się z zadowolnieniem w lustrze, i wykręciwszy się z zadowolnieniem na pięcie, powiedział do siebie:

— Zuch jeszcze ze mnie.

Potem nucąc wesoło jakąś piosnkę z Orfeusza, wyszedł na miasto, a że za wczas jeszcze było iść do cioci, wstąpił na chwilę do kawiarni dla zabicia czasu. Zabrał się do tego morderstwa uzbrojony w parę dzienników. Dla zadość uczynienia skrupułom sumienia, wziął także i „Czas“ do ręki, a upewniwszy się, że w okolicy, w któréj leżała wieś cioci, jest spokojnie, zabrał się z apetytem do inseratów. Pan Polikarp delektował się ich rozmaitością i czytał:

„Dwie klacze do sprzedania. — Jutro w kościele O. O. kapucynów nabożeństwo. Kazanie będzie miał ksiądz F. Kwestować będą panie: X. O. B. — Teatr w Krakowie: na dochód panny G: Komedjanci. — Bandaż elektro-magnetyczny. — „Ciernie“ — poemat z krwawych czasów: połowa czystego dochodu na rannych. — Guarana. — „Trzy trupy“ — szkic z obecnych czasów; połowa czystego dochodu na cel.... wspólny!!!! — Woda anatherinowa. — Pigułki. — Młoda osoba wysoko wykształcona, polka (!) życzy sobie itd. — Zginął piesek z czarną łatką, łaskawy znalazca itd. „Pieśń ostatnia“ — połowa czystego dochodu na obdarzonych kalectwem patrjotycznem“.

Wśród téj mnogości ogłoszeń, pana Polikarpa uderzyły szczególniéj prace literackie, których autorowie z bezprzykładną bezinteresownością spieszyli połową czystego zysku otrzeć łzy nieszczęśliwym i bandażować ich rany. Pan Polikarp uczuł się tą szlachetnością pokonany i umyślił zakupieniem kilku egzemplarzy którego z tych dzieł, przyjść w pomoc swemu krajowi i zatkać usta tym krzykałom czerwonym, któ-

rzy drą się, że szlachta przesiaduje za granicą i nie dba o kraj. Namyślał się tylko, który z wymienionych utworów nabyć. Ciernie już samém nazwiskiem kłóły jego delikatne nerwy, do trupów miał wstręt szczególny, zgodził się więc na „Pieśń ostatnią“ — zwłaszcza, że tytuł jéj zapewniał, iż autor więcéj z pracami narzucać się nie będzie.

— Tak, tak — to dziełko trzeba będzie sprowadzić — mówił do siebie — wezmę choćby kilkanaście egzemplarzy — to się rozsprzeda.

Gdy wtem jakaś genialna myśl palnęła go w czoło jego własną ręką. Wyjął pugilares, ołówek i genialną myśl uwięził na papierze w tych słowach: „Miscelanea“ — przez P. P. połowa czystego dochodu na rzecz tułaczów polskich. Ten tytuł umyślił pan Polikarp nadać swoim starym szkolnym wypracowaniom, które wysoko cenił, i spłacić niemi dług ojczyźnie.

Zanotowawszy sobie tę finansową operacyjkę — miał już zabierać się do wyjścia, gdy jakiś brunet o ciemnéj twarzy, w czerwonym szalu zbliżył się ku niemu.

— Daruj pan, że zaczepiam — rzekł złą francuzczyzną — ale zdaje mi się, żeś pan polak.

Pan Polikarp zmięszał się i nie wiedzieć czemu, wstydził się przyznać do polskiego pochodzenia; ale wnet w myśli stanął mu Sobieski, jak wobec całéj Europy sumiastego wąsa pokręca; — taki Kościuszko, taki Poniatowski i tylu innych wcale dobrze za granicą widzianych i odrzekł z dumą:

— Tak, jestem Polakiem — poznałeś to pan pewnie po méj powierzchowności.

— To nie — odrzekł nieznajomy patrząc na wystające z pod paletota ogony fraka p. Polikarpa; ale widziałem, żeś pan czytał gazetę, którą zwykle Polacy czytują.

(Dla zaspokojenia niecierpliwéj ciekawości czytelniczek dodam, że nieznajomy był Włochem; więcéj powiem: był Mazinistą).

— I cóż tam panie u was słychać? spytał z zajęciem przysiadując się do pana Polikarpa.

— Ha, cóż? — źle! odparł tenże sentencjonalnie.

— Jakto, źle?

— Biją się.

— To więc dobrze.

Pan Polikarp spostrzegł się, że bąka strzelił, że źle reprezentuje Polonią przed cudzoziemcem, począł się więc poprawiać.

— Tak, tego ten.... dobrze; ale ten tego.... jak się nazywa źle. Jedyna nadzieja, że obce mocarstwa....

Włoch skrzywił się, zmarszczył — i bąknął jakieś przekleństwo.

— Ale dla czego tylu panów spotkać można za granicą, gdy w kraju powstanie?

Panu Polikarpowi zrobiło się gorąco, jakby go kto herbatą polał, obracał język w ustach i nie mógł nim namacać odpowiedzi na to pytanie; radby był jak ojciec Adam schować się w téj chwili za figi, albo przynajmniéj do salonu swéj cioci, gdzie nigdy podobnie niedorzecznych zapytań mu nie czyniono.

— Widzisz pan okoliczności — począł się tłómaczyć.

— Nie mówię tego do wszystkich — wiem, że wielu z was ma missje, potrzebujecie broni.... ja to rozumiem. Ale do rzeczy. Jestem Giacomo Ciałdo, wysłany z komitetu, do którego pan pisałeś i stawam dla porozumienia się.

Pan Polikarp wytrzeszczył oczy.

— Ja pisałem do komitetu?!

— W tym dniu, o téj godzinie wyznaczyłeś pan przecie schadzkę, wzięcie téj gazety do rąk, którą pan trzymałeś przed chwilą, miało być umówionym znakiem. Czyż nie tak?

— Ależ panie, przez litość to jakaś pomyłka.

— Wszak pan jesteś ten, którego nazwisko stoi na téj kartce — i podał mu kartkę.

— Broń mnie Boże, ja jestem Polikarp Z.

Włoch przygryzł wargi.

— Szkaradna pomyłka. Liczę na pańskie milczenie, pan jeden wiesz o téj tajemnicy i bierzesz za nią odpowiedzialność.

To rzekłszy wyszedł zły i niekontent z pomyłki.

— Chryste Jezu, a to Mazynista jakiś. W imię † Ojca i Syna....

Wtem znowu szczęśliwa myśl wskoczyła mu do głowy. (Dzień ten był widać obfitym w pomysły). A że był pamięci nie tęgiéj, (mówię tutaj o panu Polikarpie nie o dniu) wyjął więc znowu pugilares i zanotował sobie: ważna missja, zakupno broni. Włożył pugilares do kieszeni jak puklerz przeciw pociskom tych, co krzyczą, że szlachta ucieka za granicę i nic nie robi. „Otóż robi i wiele robi — ma missję — rzekł do siebie i zadumał się poważnie“. Mam missję — mówił z namaszczeniem, a że się wielce poważał, więc nie mógł nie wierzyć temu, co sam mówił. Żołądek przypomniał mu, że miał złożyć cioci serdeczne życzenia, porwał więc za kapelusz i wybiegł z kawiarni.

Na skręcie ulicy jakaś niepoczesna figura bacznie mu się przypatrywała. Zdziwiło to pana Polikarpa, a przypisując tę uwagę nieznajomego jakiemuś nieładowi w swojéj toalecie, starannie obejrzał się od stóp do głów, poprawił krawatkę, dotknął kołnierzyków. Wtem zbliżyło się do niego dwóch jegomościów w krótkich wytartych surducikach i bardziéj jeszcze wytartych czołach. Skłonili się nadzwyczaj uprzejmie i poprosili pana Polikarpa ze sobą. — Ta poufałość zdziwiła go, chciał coś odpowiedzieć, gdy zobaczył tuż za sobą odstające uszy konstabla, podpierające hełm. Struchlał — zrobiło mu się gorąco, potém zimno, potém znowu gorąco, a

z piersi zaciśniętych strachem, ledwie wydobyć mógł zapytanie:

— Co... co... co to jest? —

— Pan będziesz łaskaw pofatygować się z nami do pana komisarza.

— Ależ ja nie mam wcale przyjemności znać pana komisarza.

— Bardzo zacny człowiek — rzekł jeden z wytartych jegomościów, ów bardziéj wytarty. — Prosimy pana.

Zaproszenie poparte obecnością konstabla było tak obowiązujące, że pan Polikarp nie miał siły odmówić sobie przyjemności zobaczenia oblicza pana komisarza. Za chwilę stanął przed nim.

Gdyby nie mała główka, obracająca się na długiéj szyi, całą kościstą postać pana komisarza można było wziąść śmiało za wieszadło dla jego zielonego surduta i nankinowych ten tego.... Szeroki czarny halsztuk stérczał jak homonto koło wązkiéj szyi i pomagał jéj w podtrzymywaniu komisarskiéj głowy, a raczéj główki porosłéj czarnym szczecinowatym włosem. W ramach tych włosów i krótko strzyżonych wąziutkich faworytów usiadły dwa małe, przenikliwe oczka, od których idące ku uszom zmarszczki robiły takie złudzenie, jakby pan komisarz oczy nitkami do uszów poprzywięzywał. Usta w tył wsunięte skazane były na wieczne uśmiechanie się jałowym, nieszczérym uśmiechem i pozbawione na wieki widoku słońca z powodu olbrzymiego nosa, który je w ustawicznym trzymał cieniu. Ów nos służący za skład tabaki i podporę okularów, był ulepiony całkiem w kształt ptasiego dziuba, co profilowi pana komisarza szczególniéj, gdy miał pióro gęsie za uchem, uwłaczało nieco, czyniąc go podobnym do sępa kondora. W takiéj właśnie pozycyi siedział teraz, gdy jeden z owych wytartych jegomościów, którego my dla krótkości Mopsem nazywać będziemy, wsunął się do kancelaryi, zbliżył się do stolika jak do konfesjonału i wyspowiadał się panu komisarzowi ze swoich czynności, za co otrzymał rozgrzeszenie w postaci łaskawego uśmiechu. Za chwilę wprowadzono pana Polikarpa. Pan komisarz wdzięcznie uśmiechnięty, ugrzeczniony, cały w ukłonach wyszedł ku niemu naprzeciw; to panu Polikarpowi humor i rezon wróciło.

— Jestem Polikarp Z. —

— Bardzo mi miło poznać pana. Proszę łaskawy pan siadać.

— Nie rozumiem panie komisarzu, za co mnie ci panowie tu przyprowadzili. To musi być jakieś nieporozumienie.

— Tak i mnie się zdaje, ale to się wyjaśni. — Pan daruje, że z nim maleńki zrobię protokół.

— A owszem, owszem.

A pocichu dodał:

— Eh, to jakieś uczciwe niemczysko. Niepotrzebniem się przestraszył.

Dobył cygar i poczęstował niemi komisarza. Ten nie tylko że przyjął, że stokrotnie podziękował, ale jeszcze sam potarł zapałkę i podał panu Polikarpowi. — Pełen dobréj otuchy, zaciągnął się pan Polikarp.

— Jak pańskie wartające nazwisko? —

— Polikarp Z.

Komisarz znaczące spojrzenie rzucił na Mopsa; posłuszne pióro zaskrzypiało po papierze.

— Zkąd pan rodem? —

— Z Królestwa Pol... z Kongresówki — poprawił się pan Polikarp.

— Czém se pan trudnil? -

— Ja? ja? — niczém.

Pan komisarz spojrzał na niego i ruszył ramionami. Nie mógł pojąć tego, co panu Polikarpowi całkiem naturalném się wydawało.

— Z czego pan żyje? —

— Z procentu.

— Also ein Kapitalist.

— Czy już protokół skończony panie komisarzu?

— Już.

— Pożegnam więc pana komisarza, bo mi spieszno do ciotki, która pewnie niespokojnie mnie oczekuje. Na inny raz zostawiam sobie przyjemność...

— Pan pozwoli siebie obrewidować jeszcze...

— Ależ panie komisarzu...

— Proszę o pugilares.

Schwycił skwapliwie za podany pugilares i poszedł z nim ku oknu, a tymczasem Mops i Pincz zapuścili się umiejętnie w kieszenie pana Polikarpa, plądrując po nich jak szczury w worku, a że pan Polikarp był usposobienia łaskotliwego, więc cała ta scena odbywała się wśród ciągłych podskoków i wykrzykników.

— A to co? — spytał Mops, namacawszy coś twardego na plecach pana Polikarpa.

— To... to... nic...

— Bądź pan łaskaw się rozebrać.

— To nic, to tego... sznurówka.

Mops i Pincz spojrzeli niedowierzająco na siebie, potém na komisarza i oczekiwali rozkazu.

— Sznurówka? — spytał komisarz — jakto sznurówka? Na co sznurówka? —

— Tak, dla figury — odrzekł pan Polikarp spowiadając się z zapłonioną twarzą ze swoich tajemnic toaletowych.

W téj chwili wzrok komisarza padł na ową kartkę pugilaresu, na któréj były owe szczęśliwe pomysły notowane; komisarz przeczytał, podkreślił i uradowany zawołał:

— Ich hab's.

Poskoczył do stolika — dopisał „höchst gefährlich", skinął na Mopsa, wręczył mu papiery i szepnął coś na ucho — Mops zniknął z pokoju.

— Czy ja mogę już odejść? —

— To nie może być. Pan będzie jeszcze musiał pojechać z tymi panami.

— Gzie, po co?

— To tylko prosta formalność

— Ależ mnie pilno, ja nie mam czasu.

— Tak co ja mogę łaskawy panie? — Ci panowie byli łaskawi pan tu dostawić, tak ja nie mogę puszczać na własną odpowiedzialność.

Skłonił się słodziutko i wyszedł.

— No, prawda, co on może, co on temu winien. Ale ci, ci...

Tu spojrzał ze wzgardą na pincza stojącego przy drzwiach skromnie i nieśmiało.

— Wstydźcie się — rzekł pan Polikarp — chwytać porządnych ludzi po ulicach. — Czy się to godzi?

— A proszę pana, któż będzie chwytał? — odrzekł pokornie Pincz. — Pan komisarz tego nie zrobi — więc człowiek musi, bo przecież żyć trzeba.

— Prawda i to — pomyślał sobie pan Polikarp — cóż on temu winien, jemu przecież płacą za to.

W téj chwili pan Polikarp zobaczył przez okno pana komisarza idącego na spacer. Na głowie pan komisarz miał cylinder, pod ręką swoją magnifikę, podobną do koneweczki, przed sobą dzieci dwoje, za sobą psa. — Pan Polikarp westchnął:

— Mój Boże, pomyślał sobie — czemu ja nie jestem teraz komisarzem?

Nie dla tego to mówił, iżby miał zazdrościć panu komisarzowi żony, albo innych rzeczy, które jego są, jako to: cylindra, nankinów i t. d.; ale dla tego, że gdyby był teraz panem komisarzem, mógłby niezatrzymywany przez nikogo iść do cioci Balbiny, do któréj, w miarę apetytu i obawy o siebie, rosła tęsknota i przywiązanie.

— Nie będę u niéj zdaje się, aż wieczorem — mówił sobie — dopiero to zdziwią się, gdy im opowiem dzisiejszą awanturę.

— Prosimy pan — odezwał się Mops wchodząc — powóz czeka.

— Gdzie mnie panowie macie zamiar zawieść?

— Eh, drobnostka, to tylko dla formalności, do sądu dla sprawdzenia protokułu.

— No to siadajmy, bo ja nie mam wiele czasu.

Siedli, powóz zaturkotał po bruku — minęli kilka ulic, aż zatrzymali się przed jakimś ponurym gmachem; brama w żelazo okuta otwarła się; pan Polikarp wskoczył szybko do sieni, chcąc się coprędzéj odbyć z témi nudnemi formalnościami, brama zawarła się za nim. Obejrzał się, Mopsa i Pincza nie było już. Biedak nie przeczuwał, że ich nie prędko będzie mógł zobaczyć.

— Proszę ze sobą — odezwał się ktoś w ciemnéj sieni do niego.

— Gdzież mam iść?

— Tu za mną — do zapisu.

Weszli do małéj izdebki; przewodnik pana Polikarpa siadł do stolika, przygotował papier, zaciął pióro, zasadził z flegmą okulary i patrząc co chwila na pana Polikarpa, zdawał się spostrzeżenia swoje zapisywać, co widząc pan Polikarp, starał się najkorzystniéj przedstawić, bo „jak cię widzą — tak cię piszą“.

— Czy pan ma wszystkie zęby?

— Mój panie, co to ma znaczyć? Ja z siebie drwić nie pozwolę.

— A mnieby co przyszło z drwienia, u nas taka formalność i basta. Czy pan masz wszystkie zęby?

— Wszy... wszystkie.

Zawachał się w odpowiedzi, bo... ale co mnie do tego, to rzecz dentysty.

— Świstuń — odezwał się piszący — tego pana pod Nr. 11.

Za plecami pana Polikarpa coś brzęknęło kluczami. Obejrzał się i zobaczył coś, co z kudłatego zarostu więcéj wyglądało na niedźwiedzia niż na człowieka. Tylko czerwony nos i wódczany zapach świadczyły o jego człowieczeństwie.

— No! — odezwał się Świstuń, co miało znaczyć „chodź!“

— Jakto, niby gdzież mnie pan każesz prowadzić?

— Pod Nr. 11.

— Ależ mnie upewniano, że ja będę wolny.

— Upewniano? Ano to pan będziesz wolny?

— Ale dziś. —

Piszący ruszył ramionami.

— Mój panie, niechże wiem, za co mnie więzicie, co ja winien?

— A zkąd ja to mogę wiedzieć? — Przyprowadzono pana tutaj, więc muszę pana zamknąć. Cóż ja mogę za to? — Ja przecież pana nie łapał.

— Jest racja — pomyślał sobie pan Polikarp i poszedł za dozorcą.

To co go spotkało, stało się tak niespodziewanie, że nie był w stanie zdać sobie sprawy z położenia, w jakiém się znajdował — zdawało mu się, że to tylko jakiś przykry sen, po którym obudzi się i śmiać się będzie z swego przestrachu wraz z gośćmi u cioci na herbacie. — Wśród tych myśli zachwierutał klucz w zamku, otworzyły się drzwi więziennéj celi i wpuszczono do niéj pana Polikarpa.

W końcu izby kiwał się żyd jakiś, odprawiając swoje praktyki religijne. Zapach czosnku i cebuli uderzył w nos więźnia stanu. — Cofnął się z obrzydzeniem.

Żyd obrócił się.

— Jankiel! — zawołał pan Polikarp.

— Aj waj! panie wielmożny pan.

— A ty tu szelmo żydzie co robisz?

— A wielmożny pan co?

— Ja?... ja... (był w kłopocie co powiedzieć) za politykę.

— Wolne żarty wielmożnego pana.

Jankiel jako faktor znał wszystkie sprawy i sprawki pana Polikarpa.

— Ja także za politykę.

— Ty? A bodajeś ty tak...

Zostawmy na chwilę więźniów wyrywających sobie nawzajem palmę męczeństwa, a opowiedzmy pokrótce w jaki sposób Jankiela spotkał ten honor cierpienia wespół z panem Polikarpem za politykę.

Jankiel objawiał swoje przywiązanie do kraju przez przewóz broni i prochu, i na tém przywiązaniu robił dobry interes, sam nie wiele rezykując, miał bowiem sprytnego człowieka, który się za małém wynagrodzeniem podejmował tych niebezpiecznych transportów. Ale jednego rana wychudła chciwość siadła przy łóżku Jankiela w postaci jego żony i poczęła go kusić.

— Głupi Jankiel, dla czego ty masz dać zarabiać goimowi, kiedy możesz cały zysk schować do twojéj kieszeni.

Jankiel usłuchał głosu chciwości i następnego wieczora dygotając od strachu i zimna, pożegnał Ryfkę i bochury i siadł na wózek naładowany prochem i bronią. — Wojtek zaciął szkapy i wyjechali za miasto.

Księżyc świeci — wózek leci,
Wojtek biczem ciach, ciach —
Ej! Jankielu, czy nie strach?

Jankiel dzwonił zębami, każdy rzak zdawał mu się żołnierzem przyczajonym. Dla odpędzenia strachu, usiłował zawiązać rozmowę z Wojtkiem.

— Wojciechu, słuchajcieno Wojciechu; dobrze my jedziemy?

— A cóżbyśmy mieli źle jechać.

— Wojciechu, patrzcie no, tam coś stoi.

— Gdzie?

— Koło rowu.

— Eh, nie marudźcie i siedźcie cicho. Wiśta!.

Nastała chwila milczenia, Jankielowi jednak nie dobrze się robiło bez ludzkiego głosu, próbował więc znowu zawiązać rozmowę z nierozmownym Wojtkiem.

— Wojciechu, mój Wojciechu, słuchajcieno — a nie strzeli ten proch?

— Jak nabity, to strzeli.

— Aj waj — i Jankiel w jednym skoku już był na ziemi, przypomniał sobie bowiem, że sam przy ładowaniu upominał ludzi, by worki były dobrze nabite.

— Cóż wy wyrabiacie? Siadajcie, o, jaka to robota.

— Kiedy ty mówiłeś, że strzeli.

— Toście wy kazali nabić strzelby?

— Nie, tylko proch ubić w workach.

— Oj, głupie żydzisko — i czegóż wy się boicie? — Siadajcie no, siadajcie.

— No, widzisz Wojciech, mówił Jankiel gramoląc się na wózek — mnie na żołnierza nie uczono. Ja tylko tyle wiem, że jak się strzelba, proch i ołów da do kupy, to strzela i zabija.

Wojtek nie uważał za stósowne prowadzić dalszéj rozmowy, zaciął szkapy i zachęcał je po cichu do pośpiechu. — Jankiel tymczasem oddał się marzeniom które chodziły mu po głowie w postaci cyfer. Marzenia przemieniły się w sen i głowa Jankielowska kiwała się i skakała za każdém wstrząśnieniem wózka. — Sen figlarz począł mnożyć marzenia Jankiela, cyfry rosły w miliony, przemieniły się w wielkie koło, na których Jankiel zajechał na giełdę berlińską. Żydowi mąciło się w głowie od szczęścia; jacyś wielcy panowie ściskali go za ręce, sam król poklepał go po ramieniu i spytał: Wie geht's Jankiel? — Uderzenie było tak silne, że się aż obudził. Okropna przemiana! Zamiast króla, stał żandarm przed nim i wyręczając sen, zawiózł Jankiela nie na giełdę, ale do kozy.

Zostawiam Czytelniczkom rozstrzygnienie, kto więcéj, czy pan Polikarp, czy Jankiel zasłużył się ojczyznie, a sam wracam do dalszego opowiadania.

Jakkolwiek pan Polikarp rad był ze spotkania znajomego sobie żyda, jednak tak blizkie jego towarzystwo nie w smak było szlacheckiéj naturze, i o ile nieszczęście przyciągało go do Jankiela, o tyle zapach czosnku i cebuli odpychał. — Z czasem jednakże musiał i do tego przywyknąć; wspólność doli zbliżyła do siebie stary i nowy testament, i z czasem dwaj więźniowie do takiéj ułożyli się harmonii, że Jankiel panu Polikarpowi buty czyścił, a pan Polikarp (mówię to pod wielkim sekretem) objaśniał Jankielowi szabasówki. Bo i któż miał objaśniać? — Ta zgodność — to błogi skutek więzienia. Toć Pismo Ś. daje nam tego przykład w lwach/ Danielowych. Jestem pewny, że w pustyni mniéjby były delikatne dla proroka; ale w więzieniu, dla kolegi — cóż się nie zrobi, kiedy herbowny pan Polikarp do tak obrzydliwéj zniżył się posługi.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Otóż po zamknięciu drzwi pan Polikarp stracił resztę fantazyi, usiadł jak desperat na łóżku i rozmyślał. Jankiel szanował jego boleści, nie zaczepiał go rozmową, tylko na boku mruczał sobie:

— Jak Boga kocham, on tak samo zgłupiał jak ja, gdy mnie tu wsadzono.

— Jankiel — odezwał się po chwili pan Polikarp żałośliwym głosem: która też może być teraz godzina?

— Ósma, jaśnie wielmożny panie.

— Ósma? — Mój Boże, tam teraz u cioci rzną prefera aż miło — do herbaty nakrywają. — Ty znasz moją ciotkę? Jankiel!

— Jakżeby nie.

— Co ta kobieta ma za kucharza — powiadam ci — to rozkosz. Mój Boże, na dzisiaj on się tam pewnie musiał wysadzić z czémś wyśmienitém — a ja tam być nie mogę. O! nieszczęśliwi my Polacy, tyle cierpieć prześladowań!

Westchnął i spuścił głowę na piersi męczennik. —

Po chwili otrząsnął się z boleści, wstał i chodząc szybkiemi krokami po pokoju, rzekł do Jankiela:

— Wiesz ty Jankiel, ja jeszcze dziś nic nie jadłem, jestem djabelnie głodny. Nie masz tam czego?

Jankiel pokazał kawał cebuli.

— A pfe! za nic w świecie, wolałbym umrzeć z głodu.

Żyd z flegmą położył cebulę na stole i dla uspokojenia żołądka pana Polikarpa, dodał:

— Wnet dadzą kolacją.

Rzeczywiście po niedługiéj chwili otworzyły się drzwi, wniesiono jakąś mięszaninę kartofli i kaszy rozmąconéj w wodzie — w drewnianych skopcach i postawiono na stole. Skoro się tylko drzwi zamknęły, szlachecki apetyt pana Polikarpa popchnął go do stołu; pan Polikarp jednym skokiem był już przy skopcach, wnet jednak odskoczył w tył, zatykając sobie nos. Straszne walki staczał między apetytem a obrzydzeniem, wrócił do skopca, powąchał i znowu odskoczył.

— Jankiel, będziesz ty jadł?

Żyd się wstrząsnął z odrazą.

— Jasny panie, mnie tego nie wolno, to trefne.

Nasz męczennik z oburzenia przeszedł do reflexyi.

— I cóż będziem robili? Jankiel.

— Ja będę pościł, my tego nauczeni.

I pan Polikarp zwykł był pościć, ale tak z jaką dobrą zupką, rybkami, leguminką, a tutaj takich praktyk religijnych nie można sobie było pozwolić. Chodził więc niespokojnie po kaźni — „od ognia, głodu i wojny" — powtarzał sobie nabożnie. Czasami jeszcze zbliżał się do skopca, ale znów się cofał.

— Nie, niepodobna.

Położył się — usiłował usnąć, zmęczenie i doznane wrażenia pomogły mu w tych usiłowaniach — usnął na twardéj słomianéj poduszce. I śniło mu się, że śpi, mając głowę niby Jakób na kamieniu, że widzi ogromną drabinę, dotykającą niebiosów, po któréj schodzili i wychodzili aniołowie, trzymając w dłoniach półmiski, pełne najwyborniejszych potraw, od których cudna woń rozchodziła się po okolicy. Pan Polikarp skinął na najbliżéj stojącego Anioła; ten przyskoczył usłużnie z serwetą na ramieniu i zawołał:

— Befehlen!

— Daj co masz, ja nie wybredny.

Podano mu befsztyk, ogromny jak bochen chleba, pan Polikarp założył serwetę pod szyję, przysiadł się do befsztyka, wbił weń widelec i miał zacząć krajać, gdy wtem głośne: „Halt! wer da?" obudziło go z tego smacznego snu.

— A bodajeś! — Żeby mi był przynajmniéj pozwolił skosztować befsztyka.

Przymknął znowu oczy, usiłując przywołać na nowo sen z befsztykiem. Niestety — nie mógł już zasnąć; zamiast befsztyka leżał przed nim chrapiący Jankiel. Pan Polikarp patrzał na niego oczami strasznemi jak Ugolino — zdawało się, jakby miał straszną myśl chudym żydowskim schabem obronić się od śmierci głodowéj. Wstał, przysunął się po cichu do żyda, nasłuchiwał chwilę — a przekonawszy się, że śpi — poszedł na palcach do stolika, wyjadł żarłocznie ze skopców bryjkę za siebie i za Jankiela i (do czego człowiek nie zdolny) nawet Jankielowskiéj cebuli nie darował. Uspokojony nieco, powrócił po cichutku do łóżka, jednak już nie usnął téj nocy. Jakieś widma niepokoiły go; nie były to duchy, ale było to zawsze coś, co równie jak mary nocne przeszkadza w spaniu i równie z cieniami nocy chowa się po szczelinach łóżka i dziurach ścian więziennych.

Na drugi dzień horyzont gastronomiczny naszego bohatera wyjaśnił się nieco; ciocia dowiedziawszy się o jego nieszczęściu, przysłała obiad i paczkę cygar. Ta chwila pożywania potraw, które dobrowolnie porzuciły wolność, by w więziennych murach dzielić los jego — rozrzewniała go. Z rosołem połykał wspomnienia dobroci cioci, łzami wdzięczności oblewał pieczeń i pierogi — a łyżka tak mu się trzęsła w drżących od wzruszenia rękach, że długo nią musiał szukać po brodzie otworu ust. Po obiedzie był w złotym humorze, drwił z żyda, gwizdał, nawet brała go ochota zatańczyć z Jankielem mazura; ale się pomiarkował, że to mu nie przystało. Wziął do rąk paczkę cygar i wyjął jedno. Wtem wąziutki paseczek papieru wyleciał z pomiędzy cygar — zakołysał się w powietrzu i upadł na ziemię. Pan Polikarp podniósł, przeczytał — naraz zbladł i krzyknął:

— Jankiel, Jankiel! połknąłem! zatoczył w koło okropnym wzrokiem i chwycił Jankiela za ramiona. Jankiel przekonany, że zwarjował, począł wołać o pomoc. Pan Polikarp zatkał mu usta i znowu zawołał:

— Bój się Boga Jankiel, ja połknąłem.

— Kogo wielmożny pan połknął — mówił żyd usiłując uspokoić wzruszenie swego współlokatora.

Pan Polikarp puścił żyda i począł biegać po izbie.

— A ja osioł nie przeczułem, nie domyśliłem się, nie odgadłem... połknąć i nie czuć.

Znowu stanął przed Janklem:

— Jankiel, co tu robić?

— Krew puścić jaśnie wielm...

— Głupiś — i znowu jak Derwisz puścił się po pokoju, a Jankiel drżący z kawałkiem niedojedzonego szczupaka w palcach wcisnął się w sam kąt.

— Jankiel, ja połknąłem, tu, tu ją czuję.

— Truciznę?

— Kartkę ośle, kartkę od cioci Balbiny, na, masz, czytaj — i wetknął mu w same oczy prawie wąziutki paseczek papieru.

Jankiel wytrzészczył oczy z całéj siły, ale jako niepiśmienny, nie mógł nic wymiarkować.

— I nic nie widzisz?

— Nic, panie.

— To trzeba być ślepem: patrz! tu stoi: ważna kartka i banknot w pierogach.

— Aj waj, co jasny pan zrobił — krzyknął Jankiel i chwycił jak złodzieja brzuch pana Polikarpa.

— Tu, tu, — czuję — wołał w rozpaczy bohater macając się — Jankiel, na miłość Boską radź co, bo ja zwarjuję.

— Niech jasny pan po emetyk pośle.

— Nie, nie, to wszystko na próżno, już za późno!- rzekł ponuro, grobowo i spuścił na piersi głowę i spojrzał na swój żołądek, jak na grób, co nam najdroższą istotę pochłonął. I Jankiel utopił oczy w tym grobie, a choć niepiśmienny, czytał jak na książce na kamizelce pana Polikarpa.

Tu spoczywa banknot (niewiadomego nazwiska)
wartości jak się zdaje niepospolitéj. Spoczął
tu wraz z pierogami.
Przechodniu! westchnij za nim!

Dzień ten przeszedł w okropnych boleściach (rozumiem: moralnych) panu Polikarpowi; był nieutulony — to wstawał, to siadał, to się macał, to nasłuchiwał, czy mu żołądek nie wyszepta połkniętéj tajemnicy; a Jankiel robił sobie na boku mocne postanowienie nie wpuszczać odtąd żadnego pieroga do gardła szlacheckiego, nie zrewidowawszy go wprzódy należycie.

Nakonice jednak i ta boleść, jak każda boleść na świecie musiała mieć swój koniec, i nasi bohaterowie wrócili do dawnego trybu życia; tylko Jankiel gorliwie dopełniał swego postanowienia i ledwie nie w samo gardło zaglądał panu Polikarpowi, ale napróżno. Ani kartka, ani banknot nie pojawiły się po raz drugi.

Nadeszła wreszcie chwila, w któréj naszego bohatéra zawołano przed sędziego śledczego, — tam miał się dowiedzieć o swojéj zbrodni.

W sali sądowéj za zielonym stolikiem błyszczy jak słońce ogromna twarz pana sędziego w złotych okularach; przed nim krucyfix i dwie świece, z boku maszynka do pisania w postaci cieniutkiego aplikanta. Z drugiéj strony siedzi wybladły, zestrachany delikwent, pan Polikarp.

— Jak panckie mieno?

— Co pan sędzia dobrodziéj mówi? Ja nie zrozumiałem.

— Cóż to ja po kincku (pan sędzia chciał powiedzieć: po chińsku) mówię?

— To jest, właściwie nie dosłyszałem. Przepraszam pana sędziego, jeżeli obraziłem.

— Pan mnie nie jesteś wstanie obrazić — odrzekł sędzia z dumą. — Więc panckie mieno?

— Polikarp Z.

— To mieno przybrane. Pan se wolasz Mścisław Kocicki. Pan miał stosunki z niebezpiecznemi indiwiduami włoskiemi. Im Februar bileś pan do Berlin.

— Jako żywo panie sędzio.

— A gdie pan bil?

— Ja byłem w Królestwie Pol... tego ten, chciałem powiedzieć w Kongresówce.

— Co pan tam dzielal?

— Nic, panie sędzio.

— Lassen sie sich nicht auslachen — nie daj pan siebie wyśmiać — in Kőnigreich sein und nichts machen — w ruchawka bić i nie robić rebelije. —

— Ja nie należałem do niczego, bo... bom się bal.

Biedny pan Polikarp chciał być szczerym jak na świętéj spowiedzi.

— A gdyby se pan byl nie bal, to by pan należał. — Schreiben sie das — rzekł do maszynki od pisania.

— Ja się do niczego nie mięszał i nawet przyznam się panu sędziemu — tu obejrzał się, czy gdzie na ścianie nie wyrosły uszy rządu podziemnego — przyznam się, że byłem przeciwny tym ruchawkom.

— Mi mamy dowody, że tak nie bilo. Hier steht's geschrieben — tu stoi napisano: — ważna missja, zakupno broni — i pokazał panu Polikarpowi jego własny pugilares.

Pan Polikarp usiłował zestrachane wargi zmusić do uśmiechu.

— E, to nic panie sędzio, to, to... to... to głupstwo.

— Ja wim, że glupstwo. Ale czemu panowie takie glupstwa dzielają? —

Tu zadzwonił. Otworzyły się drzwi i wprowadzono owego Włocha w czerwonym szalu.

Pan Polikarp struchlał.

W godzinę potém pana Polikarpa bladego, drżącego wyprowadzono z kancelaryi sędziego i zaprowadzono między więźniów spacerujących po dziedzińcu.

— I cóż? — spytał go jeden, którego towarzystwo uważał pan Polikarp za znośne.

— A, okropność.

— Mówże pan.

— Zaraz, zaraz, tylko odetchnę, a! to okropność — powtórzył ocierając pot z czoła — pytali mi się o jakieś związki z Mazynistami.

— I cóż pan na to?

— Zaprzeczyłem.

— Toś pan dobrze zrobił.

— A, dobrze. Bo, jako iż rzeczywiście żadnych związków nie miałem. Potém pokazano mi jakiegoś Włocha, spiskowca, i spytano mi się czy go znam.

— A pan? —

— Ja? ja powiedziałem, że nie. Bo jako rzeczywiście nie znałem go. Ale powiedziałem, żem go raz widział w kawiarni, że mi coś mówił o spiskach, o broni. —

— I czemuś pan to powiedział? —

— Bo widzisz pan, ja sobie tę okoliczność przypomniałem.

— I cóż Włoch?

— Powiedział, że ja kłamię, że jako żyje nie widział mnie. Że gdyby nawet był spiskowym — to przecież nie spiskowałby z takiém cielęciem jak ja.

— A, to pana dobrze bronił.

— A dobrze.

— A pan?

— Ja powiedziałem, że on kłamie, że mówił ze mną cztéry dni temu w kawiarni pod „oślą głową“.

— I czemużeś pan to powiedział.

— A, bo ja sobie tę okoliczność widzi pan przypomniałem.

Młody więzień ruszył z politowaniem ramionami.

— I cóż sędzia na to? —

— Ja go się panie pytałem: jak długo ja tu siedzieć będę, a on powiedział — panie, on powiedział (tu się pan Polikarp rozpłakał), że dotąd, dopóki się nie przyznam. Panie, ja tu zgniję, bo do czegóż ja się przyznam? —

Młody więzień zamyślił się chwilę, potém wziął pana Polikarpa na stronę i spytał tajemniczym głosem:

— Chcesz pan uciekać?

Nasz bohater zadrżał w pół ze strachu, w pół z radości.

— Łaskawco, a któżby nie chciał, ale czy bezpiecznie?

— Wszystko ułatwione i przygotowane — nawet szyldwach przekupiony — dziś więc w nocy....

— A to kapitalnie, doskonale — tu pan Polikarp ścisnął rękę swego przyszłego wybawcy, który tak daléj ciągnął: Co tu mówię, mówię pod sekretem, na który wymagam słowa honoru.

— Masz go pan.

— Ztąd udamy się prosto za miasto i z oddziałem ruszymy do granicy....

Pan Polikarp zbladł, nogi się pod nim zatrzęsły jak galareta na stole cioci Balbiny.

— Jakto? to ten tego....

— Tak, wszyscy za granicą bawiący połączą się z nami. Wyszedł rozkaz naczelnika miasta.... Przeczytaj pan — i tu wcisnął osłupiałemu bohaterowi zwitek papieru i oddalił się.

Panu Polikarpowi zaćmiło się w oczach, jak człowiekowi, któremu przed nosem piorun strzelił — świst kul, strzały, pałasze, kozaki, krew, ogień, krzyki, spisy nahajki — wszystkie te rzeczy, które znał z opisu, tańcowały koło niego, w głowie mu się mięszało, a serce biło jak dzwon na gwałt. Rozkaz, jakiś straszny — krwawy rozkaz Rządu narodowego trzymał w dłoni, ten rozkaz go szczypał, palił w ręce, a puścić go nie mógł. Skoro więc tylko powrócił do kaźni, przeżegnał się, rozwinął i czytał:

Rozkaz dzienny naczelnika miasta Warszawy:

1. Upomina się niniejszém rozporządzeniem wszystkich obywateli Królestwa Polskiego przebywających za granicą, aby w przeciągu 15. dni, pod utratą czci i majątku do kraju wracali, lub się z konieczności pobytu swego za granicą wylegitymowali.

2. Młodzież od lat 18 do 30. obowiązana jest w przeciągu zwyż wyrażonego terminu stawić się w szeregach powstańczych, a każdy niedopełniający tego przepisu, będzie uważany jako zbieg i zdrajca i jako taki karany.

Pan Polikarp ledwie doczytał; złowrogie pismo wyleciało mu z dłoni, a on zatoczył się i upadł na łóżko i słabnącym głosem zawołał:

— Jankiel, Jankiel!

— Czy jasny pan znowu co połknął?

— Jankiel, chcą mnie ztąd uwolnić.... resztę wyrazów schwycił w kułak i zamknął na kłódkę danego słowa honoru.

— Jasny pan wiraźnie w czépku się rodził — rzekł Jankiel z radością.

— Ja nie chcę.... ja nie mogę być wolnym....

— Ny, a to czemu? czy jasny pan tu za kontraktem siedzi?

Pan Polikarp zerwał się z łóżka, chwycił Jankiela za rękę i dmuchnął mu tragicznie w ucho, że aż Jankielowskie pejsy się zakołysały.

— Słuchaj Jankiel — tu, tu noszę straszną tajemnicę....

— Dy ja to wim — rzekł Jankiel i spojrzał z współczuciem na ową część postaci pana Polikarpa, na któréj się kończy kamizelka, a inny ubiór zaczyna.

— Nie tam, tu — objaśniał go bohater i pokazał ręką na serce — ale téj tajemnicy wypowiedzieć nie mogę.

— A to czemu?

— Dałem słowo honoru.

— A pannie Julii także pan dawał....

— Tamto było co innego.

Jankiel widząc niezłomne postanowienie pana Polikarpa, przestał go kusić i sam jak mógł poskramiał ciekawość. Nasz bohater łamał się z sobą.

— Jankiel, jabym ci powiedział pod sekretem....

— Niech jasny pan gada, nu tak w cztery oczy — kto to będzie wiedział, że jasny pan honorowi łeb skręci.

Te słowa całkiem zdecydowały pana Polikarpa, więc rzekł:

— Słuchaj, plan ucieczki ułożony, dziś w nocy....

Żyd obejrzał się po murach, czy im uszy nie wyrosły, pan Polikarp zaczerpnął powietrza do dalszego wyznania.

— Dziś w nocy z pomocą przekupionych wart uciekają — tu przysunął się, przycisnął się do żyda i szepnął: uciekają — do obozu — z deszczu pod rynnę.

— Aj, waj, ja nie pójdę, ja iść nie mogę, ja mam zionę, mam zieciów.

— A ja widzisz jestem chory, bardzo chory, gdyby nie to, to daję ci słowo honoru....

— No, dyć ja przecie znam pana.

— Jankiel, radź co tu robić?

— Niech pan ich wyskarzy do sędzie....

— Nie, widzisz kochany Jankielku nie można, może się wydać, gotowi potem tego....

Tu pan Polikarp chwycił się znacząco dwoma palcami za krtań, a Jankiel zadygotał na całém ciele, jakby już rzeczywiście miał zakosztować ptasiego życia.

— Niech jasny pan powie im, że nie ma czasu, że chory... radził Jankiel.

Pan Polikarp tymczasem przeciągnął twarz w ponure zamyślenie, palcem przytrzymywał na czole jakieś myśli — a Jankiel otworzył usta niby ryba Jonasza na połknięcie téj myśli.

— Tak, to będzie najlepiéj — powiem im, powiem.... że Polak nigdy nie ucieka, że ucieczka hańbi sprawę narodową, że tém pokazują brak wytrwałości, brak wiary w świętość sprawy, za którą cierpią męczeńsko, że ucieczką pogorszą dolę reszty więźniów.

— Święte pańskie słowa — wołał rozczulony żyd, dla którego kazanie pana Polikarpa było mową pochwalną, było przyznaniem mu korony cierniowéj męczeństwa i wieńca zasługi.

Pan Polikarp tymczasem chodził po izbie długiemi krokami, marszczył brwi jak poeta, gdy rymów szuka po głowie i stylizował mówkę ognistą. Do mówek miał talent. Ileż to razy na zjazdach szlacheckich nad pachnącemi półmiskami, przy brzęku kieliszków brzmiał głos jego; najedzone szlacheckie żołądki poruszał myślą o pracy o r g a n i c z n é j, o cierpieniach kraju, a wśród grzmotu oklasków wypijał zdrowie tułaczów, wygnańców i więźniów. Dziś miał poruszyć głodnych — zwyciężyć trzeźwych, zebrał więc starannie po głowie wszystkie najpatriotyczniejsze race, któremi miał błysnąć w oczy szaleńcom i oślepić ich blaskiem wymowy. Jankiel dodawał mu odwagi.

Na takich przygotowaniach zeszedł wieczór cały. Jankiel się zdrzemnął nieco, pan Polikarp ogładzał ostatnie okresy — gdy wtem dwunasta uderzyła na wieży; na kurytarzach dały się słyszeć kroki.

— Jankiel, już idą — krzyknął bohater i zatrząsł Janklem.

Jankiel krzyknął także i w jednéj chwili zsunął się od łóżko. Pan Polikarp zgłupiał jak wódz bez wojska, przygotowana mówka uciekła wraz z Janklem pod łóżko, nasz bohater stracił głowę i mimowoli i mimowiedzy (sic) wsunął się także pod łóżko; ale przy szlacheckiéj tuszy nie mógł tego manewru wykonać z Jankielowską zręcznością i ledwie połowa szacownéj jego postaci zanurzyła się pod łóżko; pan Polikarp więc, aby się bardziéj uczynić niewidzialnym, zamknął oczy i dech zaparł. Otworzono drzwi i — weszli — dozorcy więzienia z latarkami i znaleźli puste łóżka — pod jedném łóżkiem pięty Jankiela, a pod drugiém podlejszą połowę ciała pana Polikarpa.

— Co to się znaczy? Hej, panowie proszę wyjść z tamtąd — upomniał dozorca.

Pan Polikarp począł chrapać — pod drugiém łóżkiem Jankiel mu gorliwie wtórował.

— Panowie, wyjdźcie zaraz ztamtąd.

Pan Polikarp nic na to.

Dozorca chwycił go za nogę i wyciągać począł.

Pan Polikarp widząc, że udany sen nie pomaga, a przekonany, że go uciekający ciągną z pod łóżka do obozu, począł krzyczeć:

— Gwałtu! dajcie mi pokój, ja nie chcę uciekać.

Dozorcy spojrzeli po sobie.

— Tak więc to uciekać chcecie? Wiązać ich.

Pan Polikarp wychylił głowę z pod łóżka i poznawszy swój błąd i swoich wybawców odetchnął.

— A którędy to panowie uciekać chcieli?

— Eh, to nic łaskawco, to tak, żarty tylko. Bawiliśmy się z Janklem w chowanego ot i cała intryga.

Dozorca niedowierzająco pokręcił głową, obejrzał mur, podłogę, szepnął coś drugiemu dozorcy i za chwilę pana Polikarpa i Jankla ubrano w żelazne branzoletki.

Był to kulminacyjny punkt w dziejach męczeńskich pana Polikarpa, choć jemu zdawało się, że szereg utrapień dopiero się rozpoczął. W kilka dni bowiem otrzymał tajemniczą drogą wiadomość od cioci, że jakaś dama, z którą on obiecywał ożenić się, zgłosiła się do sędziego i chce się z nim widzieć, by wymódz spełnienia obietnicy.

— To Julka — rzekł przygnębiony tyloma ciosami więzień — et tu Brute contra me! — I cóż ja jéj powiem?

I rzeczywiście następnego dnia zawołano go na owo słodkie rendez-vous, które się miało odbyć w obecności sędziego. Poszedł na nie, ubrawszy się w porządne ubranie, twarz w cierpienia, a duszę w perswazje dla nieszczęśliwéj ofiary.

Do wchodzącego przemówił sędzia:

— Teraz się pan nie będziesz mógł zapierać swojego mieno. Jest tu jedna dama, która panu w oczy powie, że pan się wola Mścisław Kocićki.

— Panna Julja tak utrzymuje.

— Tak, tak — schämen sie sich, takie ladne panienka in Versuchung bringen. Bić się za ocizna i panienki ladne unglücklich machen, das passt schön zusammen.

Zadzwonił. Weszła blada, wysoka blondynka, wsparta na ramieniu starszéj damy.

To nie była Julia — jakaś inna dama, któréj nie znał. —

Panna spojrzała na niego i osłupiała.

— To zdrada. Mamo, to nie on!

Sędzia ogłupiał.

— Ne on? O! verflucht.

Tak więc rendez-vous, którego się lękał pan Polikarp, był początkiem rozwiązania nieporozumienia, w skutek którego został cierpiętnikiem politycznym. — Dalsze badania wyświeciły prawdę, że pan Polikarp Bogu duszę winien; zwolniono go więc z ciężkiéj roli męczennika. Ale on siebie z niéj nie zwolnił. Wyszedł z więzienia poważnie, jak przystało człowiekowi, który cierpiał za sprawę narodową, czoło miał ubrane w męczeńską powagę — i w tym charakterze został w opinii publicznéj.

Byłem potém raz u niego żądając składki na jakiś cel patrjotyczny.

— Mój panie — odrzekł z powagą — ja już dosyć czyniłem dla kraju, kto tyle cierpiał dla kraju; co ja mąk, tulactwa i więzienia — ten zdaje mi się powinien już być wolnym od innych ofiar.

Dziś, gdy w skutek nowych kombinacyj naszych dyplomatów męczeństwo (szczególniéj z czasów ostatniego powstania) nie tylko wyszło z mody, ale nawet nieco kompromituje — pan Polikarp schronił starannie do biurka swoje pamiętniki i swoją palmę męczeńską — i wrócił znowu na pole organicznéj pracy, a że podstawą téj jest dobrobyt materjalny, więc zaczął tę pracę od wyszukania sobie posażnéj żony.

Nie — Stańczyk.

Na łódce życia.

Wśród burz gwałtownych bałwanów odmętu,
Gdy woda w wnętrze wciska się okrętu,
Rzucają w morze strwożeni żeglarze
Wszystko z okrętu, by ulżyć w ciężarze.

I w łódkę życia wśród ziemskiéj podróży
Biją pociski i gromów i burzy;
W trwodze o życie w morze zapomnienia
Rzucamy drogi nasz ciężar: m a r z e n i a.

I gdy odległéj nie widzim przystani,
A morze łódkę rwie do swéj otchłani,
Życie na szali przypadku się chwieje,
Rzucamy drugi cenny skarb: n a d z i e j e.

Ucichły wiatry — burza już ustała,
Już w przystań wbiegła łódka ocalała;
Szukamy skarbów — a z całego mienia
Zostało brzemię smutku i wspomnienia.

Br. Ło.

Życzenie wygnańca.

Niech bracia tułacze na polskiéj granicy
Usypią mi kurchan; — do martwéj prawicy
Niech włożą szablicę święconą!

Ażebym gdy wejdzie dzień sądu Jehowy,
Szablicą odwalił mój kamień grobowy. —
I ziemię, krwią ofiar czerwoną,
Tę ziemię, co skuta w niewoli kajdany,
Gdzie ludem — ofiary, stolicą — kurchany,
A srogość króluje na tronie—
Obaczył jak wolna i czysta i święta
Rozrywa hańbiące niewoli swéj pęta —
Zobaczył — ach! chociaż po zgonie!

M. Kochanowski.

Wystawa powszechna.

(Ciąg dalszy.)

Żeby już skończyć z przemysłem, wspomniemy jeszcze o kilku szczegółach ciekawszych.

Amsterdamska s z l i f i e r n i a d j a m e n t ó w, najpierwsza w świecie, wysłała na wystawę jakby filją swoją. Widzimy tu stopniowo całą pracę, począwszy od pokładów ziemi, w których djamenty się znajdują, aż do podobizn największych djamentów, jak: K o - i - n o r, g w i a z d a p o ł u d n i a itd.; — cały ten zajmujący proceder był jednak już dawniéj w „Kalinie“ opisany — więc tam Czytelników odsełamy *.)

Pomiędzy ciekawościami drugorzędnemi zwraca uwagę wieża na pół w ruinie — (kaprys wystawcy), w któréj się znajduje fabryka séra „Roquefort“, wyrabianego w górach Auwernii. W piwnicy widzimy bochenki tego séra w rozmaitych odmianach, jakie przechodzi, zanim się pojawi w handlu. Do gorącego, zsiadłego mleka sypią utarty spleśniały chléb i ujmują tę masę w formy. Zwolna stygnąc, umniejsza się i obsypany solą, twardnieje przez trzy miesiące. Sér ten jest ulubiony dla Francuzów, a wyrób jego przypomina szałasy tatrzańskie.

Z A u s t r y i są w parku dwie wspaniałe wystawy: jedna: olbrzymi z b i ó r p n i ó w d r z e w n y c h i t a r c i c ułożonych piramidalnie, i dających znakomite świadectwo o bogactwie leśném w Austryi — a druga: e s t r a d a w y r o b ó w z p a l o n é j z i e m i *(terra cotta)*, z fabryk Henryka Drasche. W układzie téj wystawy czuć rękę artysty. Na kilku okrągłych podstawach, jedna nad drugą, a coraz mniejszych ku górze, ustawiono wazy, posągi, karjatydy, balustrady, lwy, sfinksy, kandelabry i inne ornamentyczne przedmioty, po większéj

*) Artykuł: złoto, srebro, djamenty td.

części kopiowane z starożytnych wzorów. Piękne są grupy: sadownictwo i rolnictwo; sztuka i umiejętność. Szczególniéj wdzięczną jest ta ostatnia, gdyż zimne, tradycyjne postacie alegoryczne zastąpiono tu dziećmi: jedno z lunetami — to umiejętność, drugie w birecie na uszach, z lulką w ustach, z miną serjo — to sztuka, jest w tém wiele humoru, a bez przesady.

VIII.

A teraz jeżeli wzrok znużony tysiącznemi przedmiotami, jeżeli głowa zmęczona hałasem pragnie chwili spoczynku, szmeru wód i woni kwiatów, to już trzeba zapłacić osobno pół franka i przejść do ogrodu: *jardin reservée*. Zamiast gorączkowéj czynności przemysłu, znajdujemy tu cichy spokój przyrody; zamiast potężnych maszyn, złocistych ubiorów, djamentów i kryształów, tryskających ogniem — znajdujemy zieleń, kwiaty, niemniéj bogate i świetne w swoich barwach. Cały ten ogródek uśmiecha się i pachnie, istna sielanka. Lecz i tu odbywa się wystawa. Oto wzniesiono góry i skały, z których biją kaskady, i rozlewając się spływają do jeziora. Ta wyżyna — to olbrzymia kwieciarnia, wystawa roślin tropikowych. Drzewa najdziwaczniejszych kształtów; wszystkie odcienia zieloności, od błyszczącéj, jasnéj, aż prawie do czarnéj; liście najkapryśniéj powykrawane, kwiaty, które od stóp pni sięgają aż do wierzchołka na wysmukłych łodygach, armje wazonów z których biją kolory i zapachy — a daléj kilka cieplarni pomniejszych, wspaniałe, kwitnące klomby po drodze, bukieciarnia, owocarnia, gdzie się wygrzewają cytryny wielkości naszych bań; są to wszystko miłe i wesołe widoki. Najwspanialszą jednak ozdobą są tutaj dwie groty. Z dziwném uczuciem chodzi się po tych skalistych, podziemnych krużgankach, obrosłych stalaktytami, wśród wilgotnego powietrza i szmeru wody przeciekającéj przez szczeliny. Ale i tu nie szło tylko o zabawę i niespodzianki dla oka; w grotach tych znajdują się akwarja wody słodkiéj i słonéj. Albo mamy przed sobą szklanne ściany, tworzące boki, albo też mamy nad sobą szklanne ściany tworzące dna wielkich rezerwoarów, napełnionych wodą rzeczną lub morską. Od góry oświeca je światło dzienne, zaś patrzący znajduje się wśród ciemności grot. W ten sposób akwarja te są zupełnie przejrzyste. Każde z nich zaludnione jest pewnemi umiejętnie rozdzielonemi stworzeniami wodnemi, są tu wszelkiego gatunku ryby, raki, ślimaki, żaby, żółwie, gwiazdy rozmaite, amfibija, ostrygi i wszelkie robactwo wodne. Dno zarosłe jest stósownem zielem i krzakami — a tu i owdzie gąbki i ławy koralowe. Nic ciekawszego jak ten widok. Można tu podpatrywać najskrytsze szczegóły życia tych stworzeń, których figle równają się nieraz ich brzydocie. Gonitwy węgorzów, piramidy raków obsiadających krzaki, najkomiczniejsze ruchy i wykrzywienia — zdaje się, że to jakiś symboliczny świat, przedrzeźniający wszelkie charaktery, typy, wady, namiętności i śmieszności ludzkie — tyle tu rozmaitości form, tyle odmian, tyle nieraz sprytu i energii w przełamywaniu trudności, w zakopywaniu się, w poruszaniu kamyków.... Jest to jakby zakulisowe wglądnięcie w domowe sprawy tych gadów — a i one zapewne nie mniéj od nas się dziwią, widząc się po raz pierwszy w ludzkiém towarzystwie. Francuzi szczególniéj przyglądają się wszelkim potworkom morskim, bo są to ich ulubione przysmaki, które masami zjadają.

Tak więc pozostały nam jeszcze budowle i wystawa rolnicza na wyspie Bilancourt — o czém w następnym kwartale.

Odczyty publiczne w Krakowie.

Pierwszy szereg odczytów, który się właśnie odbywa, obejmuje przeważnie nauki przyrodzone i społeczne. — Wybór ten jest wielce pożądanym, są to bowiem przedmioty najmniéj u nas rozpowszechnione, najmniéj liczące przystępnych dzieł.

Prof. Majer mówił o zmysłach człowieka pod względem ich wzajemnego do siebie stosunku. Zmysły dotykania, smaku, powonienia są najgrubsze i najwięcéj ograniczone, potrzebują bowiem bezpośredniego zetknięcia się z przedmiotem, rozpłynięcia się jego cząstek w ustach, lub dojścia jego ulotnionych cząstek do nosa. Delikatniejsze są przewodniki słuchu i wzroku: drgające fale powietrza lub eteru (przypuszczenie uzasadnione) — ztąd téż i granice tych zmysłów są szersze. Jeżeli się granice te przestąpi, ginie władza zmysłu, lub powstaje ból. — Głos, światło są jedynie w nas, naszém czuciem, naszą własnością, wyłącznym wyrobem ucha i oka — świat zewnętrzny podaje tylko warunki, żeby wyrób ten powstał. M[illegible] nie więc mówimy, że instrumenta mają głos, lub lampa światło. Na dowód dosyć przytoczyć, że jeżeli w ciemnym pokoju pocieramy w dołku oko, lub przy nagłém uderzeniu widzimy błysk, robi nam się światło, którego nigdzie zresztą poza okiem nie ma. Używanie zmysłów nabywa się pracą, tak jak chodzenie. Zmysły nawzajem się kontrolują i pomagają sobie. Pewien człowiek, np. który w 17 roku życia dopiero po operacyi przewidział, nie miał przez długi czas żadnego wyobrażenia o przestrzeni i odległości, i bał się chodzić, bo mu się zdawało, że o każdy przedmiot utknie. Tak samo dziecko sięga ręką po księżyc. Dopiero doświadczenie zmysłu dotykania pozwala oku sądzić o odległości. Jednak lubo zmysły pomagają sobie, przecież nigdy jeden drugiego zastąpić nie może. To co mówiono o przechodzeniu transpozycyi zmysłów, o czytaniu nosem, palcami, lub przez przyłożenie pisma do dołka podserco-

wego, o widzeniu magnetyczném przez zamknięte drzwi — wszystko to wobec nauki okazało się bajką, oszukującą się dobrowolnie, lub oszukaną łatwowiernością. Sz. Prezes zakończył naszkicowany tu ustny wykład następującym odczytanym ustępem, który nam łaskawie udzielił:

„Kończąc ten wykład, pragnę najmocniéj, aby nie samo tylko zaspokojenie ciekawości było skutkiem z niego odniesionym. Nastręczyć on powinien pod względem wychowawczym podwójną naukę, jednę bezpośrednio związaną z przedmiotem, którym się zajmowałem; drugą będącą jego ubocznym wynikiem.

Bezpośrednio z wykładu okazuje się potrzeba pewnéj równowagi w pielęgnowaniu zmysłów, roztwierających przed duszą świat zewnętrzny z jego całym powabem estetycznym i zasobem dla dalszego duchowego rozwoju.

Wszakże roztrząsając wzajemny stosunek zmysłów, wypadło mi téż potrącić o przesądne mniemania, wielce zaprawdę ponętne z powodu swéj nadzwyczajności a naszéj uczuciowości skoréj do zachwytu. Otóż sprowadzając te powabne wybryki fantazyi do surowych zasad nauki, chciałbym aby drobny ten przykład znalazł zastósowanie w obszerniejszym zakresie, gdzie więcéj jeszcze na tém zależećby powinno, ażeby właściwą nam uczuciowość i fantazyjne porywy trzymać na wodzy zimnego rozsądku. Piękny to przymiot owa uczciwość; jeśli jednak wyłącznie panować jéj dozwolimy, pluskać się będziem po mieliźnie życia, gdy już czas wielki, ażeby z męzką siłą zmierzyć się z jego głębiną.

Nie lękajmy się, żeby ta groza nauki ubliżyła myśli wielkiego poety: „miéj serce i patrzaj w serce!“ ona jéj tylko zakreśli przynależne granice! Pod okiem matek polskich nie zakrzepnie w młodém pokoleniu ten zdrój serdeczności; — niechże więc ojcowie polscy dopełnią go hartem duszy i powagą rozumu, a przyszłość błogosławić im będzie“.

Prof. Dunajewski mówił „o znaczeniu kapitału w gospodarstwie narodowém“. Wyraz kapitał, używany codziennie, każdy inaczéj stosuje: jedni nazywają kapitałem pieniądze; inni mówią ziemia, czas to kapitał; o bogato wystrojonéj kobiecie mówią, że cały kapitał nosi na sobie — o żonie chociaż nie pieniężnéj, ale gospodarnéj i rządnéj mówią, to prawdziwy kapitał itd. I nauka rozmaicie określała to pojęcie. W ogóle powiedzieć można: Trzy są czynniki gospodarstwa: praca, którą wydobywamy ze siebie — przyroda tj. wszystko, co gotowe do użycia zewnątrz nas znachodzimy — i kapitał. Co nie jest wyłącznie ani pracą, ani przyrodą, i co służy do dalszego wydobywania (produkcyi) jakichkolwiek dóbr — jest kapitałem.

Sz. prelegent mówił następnie „o kapitałach materjalnych i moralnych“ — z pomiędzy tych ostatnich przytoczył język ojczysty, jako wielką narodową skarbnicę.

Z powodu braku miejsca, o dalszych odczytach w następnym numerze.

TEATR. Od czasu dramatów greckich, w których całe pokolenia okuwa czerwony łańcuch zbrodni i okropności, w których człowiek walczy z największemi potęgami: natury, przeznaczenia, bolu, miłości, dumy — i w tych walkach z demonami wybujałych namiętności rozbija się zwykle jak słaby gliniany zlepek — od czasu owych ateńskich mistrzów żadne dzieło sztuki nie zyskało tak szerokiego, ogólno-ludzkiego znaczenia, żadne nie poruszyło tak do głębi wszystkich tajemnic życia, nigdzie nie ma tak plastycznie przedstawionéj tytanicznéj walki myśli i woli — jak w **Hamlecie**. Cała fabuła, najdziwniejsze sceny wiążą się i służą na to, żeby wewnętrzny, psychologiczny proces ująć w widome formy dramatu ściśle scenicznego. Hamlet to człowiek, który się nosi z pewną myślą, a nie może się zdobyć na wykonanie jéj; pali go ogień oburzenia na widok zbrodni i pogwałconych praw ludzkich, serce porywa go do zemsty; ale obsiadła go szarańcza wątpliwości i ten Prometeusz, spętany niedołęztwem natury ludzkiéj, traci równowagę, w nieporadném pasowaniu się targa społeczne węzły, depcze kobiece serce, popełnia bezużyteczne morderstwo, błąka się w zamieszaniu pojęć i chęci, aż nareszcie pokonując zbrodnie, sam także ginie jako ich ofiara. Tém jest Hamlet sam i tém jest cały dramat. Biblioteki zapisano o tém dziele — a zwłaszcza Niemcy, którzy w nim widzieli odźwierciedlone usposobienie narodu swojego: oderwano — filozoficzne. Lecz nie ma człowieka, któryby w działach takich jak: Prometeusz, Hamlet, Faust, Zbójcy.... nie wynalazł drgnień własnego ducha, triumfów i upadków własnego życia. W tém téż leży potęga i nieśmiertelność tych arcydzieł. U nas widzimy obecnie po raz pierwszy Szekspira po polsku. („Ukrócenie przekory“, „Wiele hałasu o nic“, „Kupiec wenecki“, „Hamlet“ — a ma nastąpić „Ryszard III., Romeo i Julja“). Dotąd grywano bowiem same przerobienia niesmaczne; parodje raczéj — dość powiedzieć np., że tam Hamlet zostaje przy życiu i żeni się z Ofelją. Przedstawienia obecne prawdziwego Szekspira są wypadkiem do zapisania w rocznikach teatru.

Rola Hamleta ma swoją tradycją. Przedstawiają go zwykle jako młodzieńca, którego już zbyteczna tusza krępuje, aż mu oddech zapiera. W takiéj niedołężnéj formie męczy się buntowniczy duch. Pan Rapacki odstąpił od téj tradycyi, na tém większe uwydatnienie prawdy. W fizycznéj postaci Hamleta jego niema nic odróżniającego, chłopiec jak drudzy. Cała postać zyskała na tém, bo nie idzie tu o jakiś szczegółowy okaz, o jakiegoś oryginała, ale o przedstawienie człowieka. Z drugiéj strony nie ma to być jakaś symboliczna postać, ale człowiek żywy, który obok ogólnoludzkiego piętna, ma swoje osobiste właściwości; inaczéj nie byłby dramatycznym charakterem. I tę drugą stronę pojął p. R. i oddał z całą prawdą. — Jego Hamlet to młodziutki, wątły chłopiec, idealista, sympatyczny — szlachetna dusza obok niezręczności i zaniedbania zewnętrznych form. — Każde pokolenie ma takich chłopców.

Naturalność, estetyczne umiarkowanie — oto główny wdzięk i siła gry p. R. Artysty nie widać wcale z poza przedstawianéj postaci — a jednak czujemy, że on panuje nad sobą i nad grą swoją. Ta potęga refleksyi, przy swobodzie ruchów i deklamacyi, jeżeli kiedy, to właśnie w roli Hamleta, w którym bije się krewkość z manią refleksyi, podała panu R. sposobność do oddania charakteru równo, jednolicie. Hamlet przedstawiony w własny, oryginalny sposób, (któryśmy naszkicowali) pozostanie jedną z wykończonych postaci p. R. Nie zaszkodziłoby jedynie trochę więcéj miękkości poetycznéj.

Ofelja p. Modrzejewska, była w scenach warjacyi okropnie piękną: łagodny wdzięk, głębokość boleści, szorstkość i ostrość ruchów szalonéj, nagłe, nieharmonijne spadki głosu — były to rysy i sposoby i znakomicie obmyślane i ślicznie wykonane. Ażeby jednak taka kryzys gwałtowna wynikała naturalnie z całości charakteru, należy w poprzednie sceny wlać więcéj gorąca i życia — a p. M. była w pierwszych aktach nijaką.

Całość przedstawienia poszła gładko, nawet sceny komiczno-tragiczne, tak ulubione Szekspirowi, odznaczały się niezwykłém u nas w takich razach umiarkowaniem. Obawialiśmy się o rolę ducha. Wprowadzenie na scenę zjawiska takiego, utworu rozdrażnionéj wyobraźni ludu i Hamleta, jest niebezpieczném dla sztuki. Trzeba bowiem liczyć na to, że i u publiczności porwanéj przedmiotem sztuki wyobraźnia gra; artysta zaś oddający ducha, może jednym gestem lub tonem nieodpowiednim iluzją zdmuchnąć, potrącić o komiczność, i cały efekt przepadnie. Czuł to Szekspir, i dla tego jak wiadomo — sam tę rolę grywał. Pan Ładnowski st. uzbroił się w spokój, powolność, monotonią, ponurość, brak wszelkiéj deklamacyi -- i przez to utrzymał powagę tych scen, w których duch się pojawia. Tak więc obok doskonałej gry w głównych rolach — cechą przedstawienia było, że jakkolwiek niejedno nie dorosło wymaganiom — w całości jednak nie było nic zbyt rażącego.

Poloniusa oddał p. Benda zupełnie odpowiednio temu, jak go pojął — atoli pojęcie było niezupełnie odpowiednie. A najpierw należy się pozbyć pewnych rutynowych formuł, które przepisują: że grając starego, trzeba mieć krok niepewny, nogi trzęsące, głowę na dół i mlaskać przy mówieniu — sądzimy, że p. B. nie potrzebuje tych prowincjonalizmów. Powtóre należy uważać, że Polonius jest to człowiek wielce poważany na dworze, ojciec, którego śmierć przyprawia córkę o pomięszanie zmysłów, i z powodu któréj syn jest w stanie lud do buntu skłonić. Człowiek ten przez starość swoją, która go robi gadułą i przez dworactwo swoje niecierpliwi Hamleta i wydaje mu się błaznem i głupcem — to rzecz naturalna; lecz jak dla innych osób w sztuce, tak i dla publiczności nie powinien być figurą śmieszną i artysta nie ma prawa pozbawiać tę postać sympatyi i litości. Inaczéj dziwną się wydaje nadzwyczajna boleść Ofelii po jéj „gołąbku" i potęga oburzenia Laertesa i ludu. Działanie i charaktety osób w dramacie uzasadniają się nawzajem; wymaga to w grze pewnéj łączności, bez któréj zostają pojedyncze role, a charakter całości ginie. Wspomnieliśmy już o tém przy ocenieniu mrg. Vilmer. Potrzeba ta uchodzi często uwagi artystów, zajętych swoją rolą — ale jest to obowiązek reżyseryi. Scenie naszéj brakuje jeszcze tego krytycznego zaokrąglenia i baczności, przy przedstawieniu dramatów.

Czytaliśmy niedawno i słyszeliśmy zdania, że autor chciał w Hamlecie uzmysłowić filozofią niemiecką, a w duchu przedstawić starożytne fatum. Nie możemy wyszukać danych, na którychby zdania te mogły się opierać.

O znaczeniu dramatu mówiliśmy już wyżéj, tu dodamy, że ducha możnaby usunąć, a przebieg rzeczy niby na tém nie stracił. Duch jest tu tylko upostaciowaniem dręczących domysłów Hamleta, Mowie jego Hamlet nie wierzy, skoro używa aktorów dla przekonania się o prawdzie. O przeznaczeniu więc, mowy tu być nie może. Jest to idea zupełnie obca nowożytnemu dramatowi, który polega na charakterach działających według własnéj woli i namiętności.

Rozpisujemy się obszerniéj, ilekroć mamy przed sobą dzieła pierwszorzędnéj wartości, sądzimy bowiem, że rozbiory takie są pożądanemi i dla zamiejscowéj publiczności, jako praktyczne lekcje z estetyki. *S.*

Wiedeń.

*** Rok rocznie porą zimową odbywają się w Muzeum austryjackiém **odczyty, odnośnie do sztuk pięknych i przemysłowych.**

W tym roku proffesor Eitelberger dyrektor Muzeum rozpoczął prelekcje wykładem o sztukach pięknych na wystawie w Paryżu, o stanowisku realistyczném obecnéj sztuki malarskiéj we Francyi i jéj stosunku do antyki, i o postępach nowoczesnéj architektury.

Wspominam o tém szczególniéj dla tego, że proffesor Eitelberger zastanawiając się nad brakiem obrazów historycznych na wystawie francuzkiéj, zatrzymuje się z uwagą i uszanowaniem koło obrazu, który wyszedł z waszego miasta — tj. mówi o obrazie pana Matejki.

„Gdy artysta (mówi p. Eitelberger) mały, niepozorny, chorowity, powierzył nam był swój utwór, zmuszeni byliśmy dla jego wielkich rozmiarów rozpakować go najprzód na strychu, i spostrzegliśmy już wtedy od razu, że to jest arcydzieło, które nam zaszczyt przyniesie. Nie zawiedliśmy się wcale. Ze stanowiska krytyki i sztuki wiele téj pracy zarzuciéby można, a mianowicie zbyteczną jaskrawość kolorytu i brak perspektywy. Leonardo da Vinci ów wielki mistrz malarstwa twierdził, że perspektywa w malarstwie jest hamulcem i wędzidłem. Lecz Kraków nie jest miejscem dla takich nauk, a artysta nie miał środków, by talent swój znakomity wydoskonalić w tym względzie. Co się zaś tyczy głównych, żywotnych warunków, które obraz dopiero czynią arcydziełem — tam artysta pokazał potęgę. Prawda, żywość pojęcia, uczucie gorące, drgają prawie w każdym odcieniu tego dzieła mistrzowskiego. Obraz przedstawia ustęp z dziejów narodu polskiego. Kilku posłów ma podpisać rozdział kraju, jeden tylko poeta (??) Rejtan protestuje w imieniu całego kraju i w nadmiarze boleści i uniesienia rzuca się o ziemię. Zdaje się, że artysta obraz ten malować musiał krwią od serca swego, (mit seinem Herzblut) gdyż okrzyk żalu i rozpaczy całego narodu ztamtąd najwymowniéj odzywa się do serc naszych i głęboko je porusza i rozrzewnia!...

Matejko ze szczególném zamiłowaniem maluje ustępy z historyi swojego narodu; jest to bowiem już trzeci jego obraz historyczny, chociaż artysta liczy zaledwie lat 29.

Mocno nas to cieszy, że obraz ten zakupionym został dla galeryi w Belwederze — będzie to pomocą dla artysty i zachętą do dalszego wytrwania i wykształcenia się w zawodzie, w którym tak wiele już zwalczył trudności — będzie również zachętą dla drugich, by wstąpić w jego ślady i równą okazać wytrwałość".

M.

*** Wszystkie dzienniki francuzkie zajmują się obecnie gorąco sprawą szkół średnich dla dziewcząt. Za staraniem ministra Duruy powstają tam bowiem po wszystkich większych miastach świeckie gimnazja żeńskie, pod opieką rad miejskich. Otóż biskup orleański Dupanloup, ogłosił przeciw temu namiętny manifest, w którym żąda, żeby wychowanie kobiet wyłącznie księżom zostawione było. Cała światła publiczność i dziennikarstwo gromi w obszernych artykułach wsteczne zachcianki manifestu. Gimnazja świeckie nie odbierają wcale duchowieństwu wolności i możności nauczania; lecz celem ich jest, żeby kobiety nie tylko na religiantki, ale i na obywatelki wychowywane były. Wyłączność wychowania duchownego, klasztornego — sprawia już dzisiaj we Francyi rozstrój i niezgodę w rodzinach, gdyż kobiety wzrastają w zupełnie innych pojęciach jak mężczyźni. Pierwsze u nas prywatne gimnazjum żeńskie, w którém uczą oprócz zwykłych nauk, zarazem obszernie i nauk przyrodniczych społecznych, rachunkowości itd. — otwarła we Lwowie Pi. Selingerowa.

*** Pan *Szklarski*, były nauczyciel z Miechowa, wydaje w drukarni uniwersyteckiéj „**Księgozbiorek naukowy**“ — jest to popularny wykład sposobów uczenia: czytania, pisania, rachunków.... Polecamy te książeczki nauczycielom wiejskim i w ogóle wszystkim, trudniącym się nauczaniem dzieci.

*** Druk tomu drugiego: „**Pamiątki dla rodzin Polskich**“ — jest już na ukończeniu. Również są już gotowe tablice, obejmujące 30 fotografij, ujętych w jeden bardzo powabny obraz. Cena prenumeraty 3 — 60 c. będzie po wyjściu dzieła znacznie podwyższoną.

*** P. Paulina *Wilkońska*, znakomita autorka, któréj dzieła odznaczają się elegancją całego toku i zdrowemi tendencjami, wydała nowe powieści: „**Dziedziczka Czarnolic**“ i „**Dziedziczka Jodłowca**“ — a w rękopiśmie ma wygotowane jeszcze dwie: „**Dziedzic Orłowca**“ — w któréj osią opowiadania jest założenie kolonii rzemieślniczéj.— Druga, „**Wnuk**“ — wziętą jest z życia za czasów Paszkiewicza — a przeprowadzoną jest w niéj idea, że nie ma jadu we krwi — bohater powieści miał dziadków łotrów i zdrajców po mieczu i po kądzieli — synowie jego rehabilitują w ostatniém powstaniu imię dawniéj splamione.

*** Nowa powieść *Bolesławity*, „**Tułacze**“ — tom I. — dzieje się za czasów konfederacyi barskiéj. Obok całéj serdeczności i uroku opisów i ślicznego języka, jest ta powieść pod względem budowy bardzo słabą i przesiąkniętą chorobliwą uczuciowością. Miał tu być przedstawiony początek tułactwa polskiego; lecz bohater powieści może wracać do domu, nawet ojciec jedzie po niego do Drezna — on jednak odmawia — on chce się tułać i cierpieć!!!. Są i inne w tym rodzaju anomalje, które wbrew woli autora parodjują główne założenie i świadczą o zbytnim pośpiechu w pisaniu, niedozwalającém przedmiot obmyśleć i uzasadnić.

*** We Lwowie odbyło się już **kilka odczytów publicznych**: prof. Małecki, o sztuce drukarskiéj — prof. Strzelecki, o wystawie paryzkiéj — p. Godebski, o epoce Mickiewicza w literaturze — p. Starkel, o słońcu. Najważniejsze jednak są tam odczyty p. Henryka Szmitta, który po raz pierwszy na ziemi polskiéj opowiada publicznie nasze porozbiorowe dzieje. Obszerniejsze sprawozdania podamy późniéj.

*** W Krakowie wyszedł **I. tom dramatów** ***Józefa Szujskiego*** — ocenienie — późniéj.

*** **Loterja fantowa** odbyła się świetnie. Mnogość wygranych, elegancja całéj wystawy, wytworność strojów, przyjemność swobodnéj towarzyskości, wyborna muzyka — są to warunki, które zawsze zapewniają powodzenie tego rodzaju dobroczynnym zabawom. Zwykle goście ani się zmiarkują, kiedy im się kieszenie wypróżnią. Jest to charakterystyczne, że ludzie potrzebowali wymyślić sobie sztuczne sposoby, aby się na dobroczynność zdobyć.

*** W zeszłą niedzielę był w teatrze koncert czterech połączonych wojskowych orkiestr. Prócz uwertury z Oberona, wszystko wykonane było sumiennie. — Należy tylko żałować, że program koncertu nie był tak doborowy, jakby spodziewać się należało. „Monstre-Concert“ bez Bethowena dziwnie wygląda, a poukładanie Soupégo i Offenbacha świadczy albo o małéj dbałości kapelmistrzów, albo, że nieszczególne mają wyobrażenie o publiczności krakowskiéj.

*** Pani *Ebersowa* wdowa, po zaszczytnie znanym w naszém mieście doktorze, otworzyła przy ulicy florjańskiéj **magazyn modniarski**, w którym pracują najzręczniejsze modniarki. — Przykład ten pracy i praktyczności, wymownie sam za sobą przemawia.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niepieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Planche II.

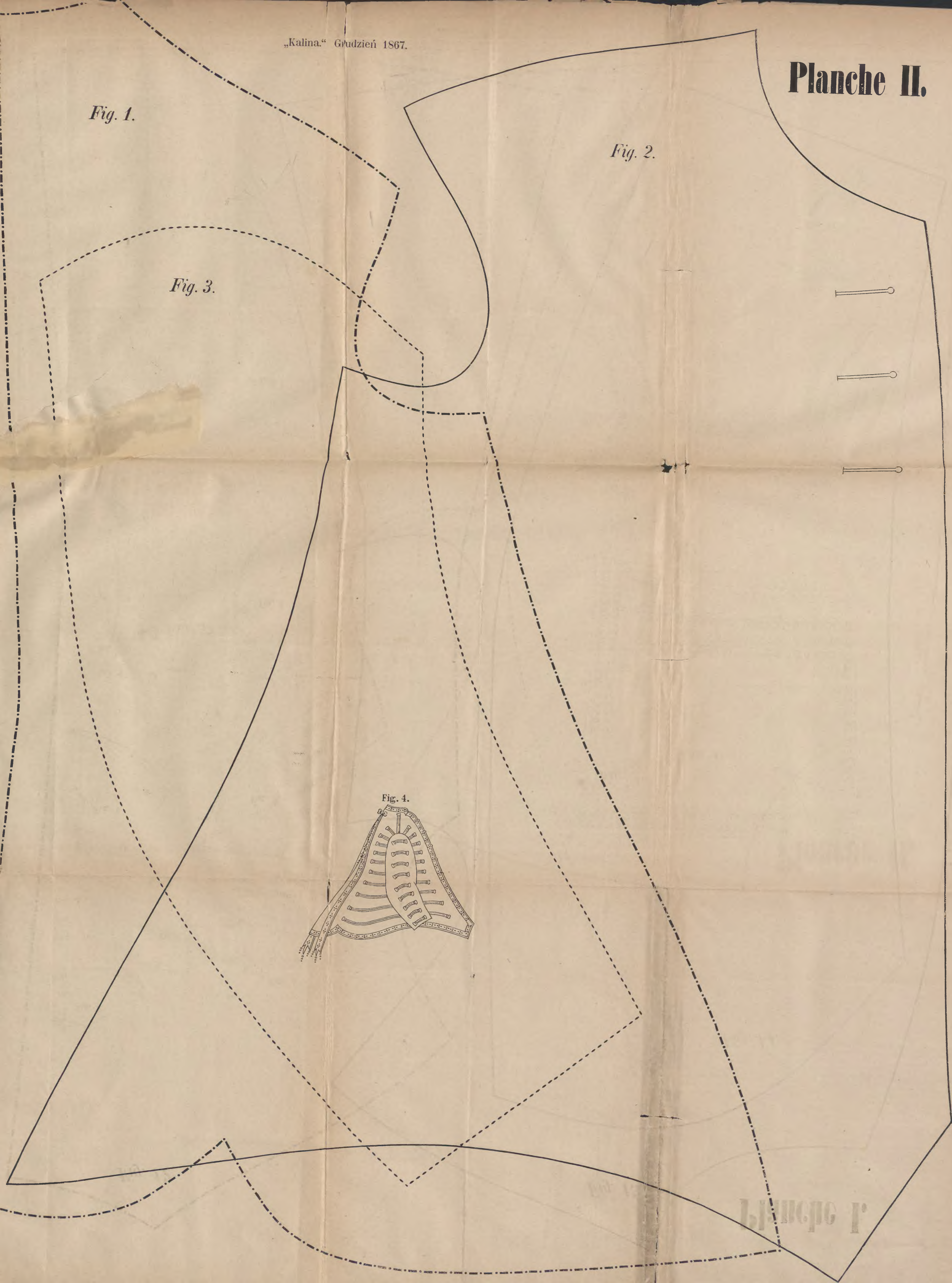


Planche I.

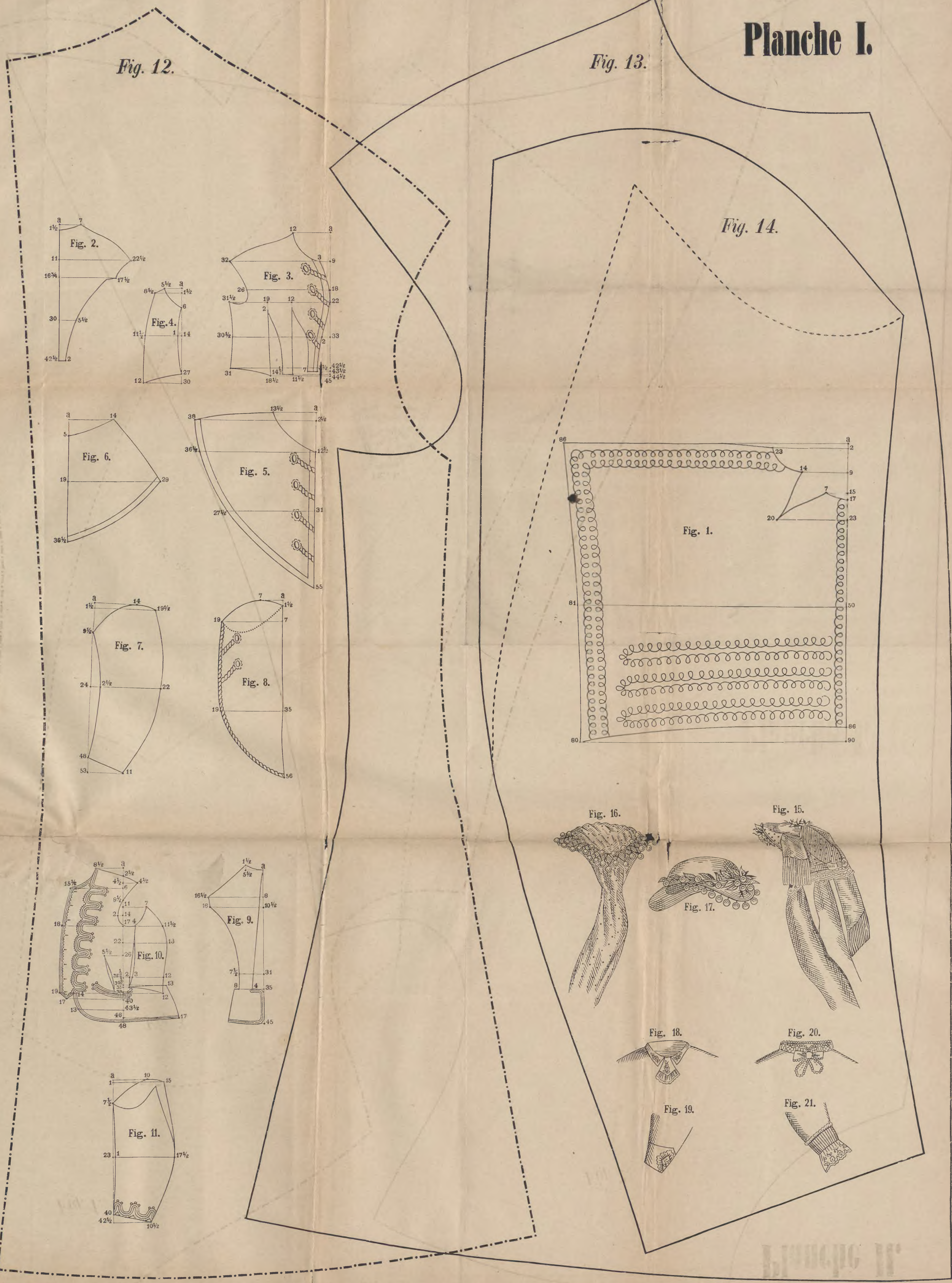


Fig. 12.
Fig. 13.
Fig. 14.
Fig. 2.
Fig. 3.
Fig. 4.
Fig. 6.
Fig. 5.
Fig. 1.
Fig. 7.
Fig. 8.
Fig. 10.
Fig. 9.
Fig. 16.
Fig. 15.
Fig. 17.
Fig. 11.
Fig. 18.
Fig. 20.
Fig. 19.
Fig. 21.